

Agnieszka Hałas, „Schronisko”.

Oaza na drodze pielgrzyma.

Na półce w przedsionku schroniska stoi metalowa przedwojenna lampa karbidowa. Żyje w niej dżinn imieniem Baqi, który dostarcza nam zapasy. Jego stały repertuar to nudna lista zawierająca głównie takie pozycje, jak mąka, cukier i sól, pieczywo, płatki owsiane, mleko w proszku, margaryna, olej rzepakowy, kartofle, konserwy i dżemy, a także butle gazowe i drewno na opał. Jednak ilekroć jest w psotnym nastroju, co zdarza się całkiem często, Baqi przynosi egzotyczne potrawy z różnych stron świata. Harira, biriani, samosy, khao soi, nasi lemak. Kiedyś przytargał wielki półmisek burritos i enchilad z kwaśną śmietaną i sosem guacamole.

To Baqi zabiera wszystkie fanty, jakie dostajemy od gości. Nie wiem, czy je kolekcjonuje, czy rozdaje gdzieś w swoim macierzystym wymiarze. Kto wie, może jego bracia dżinny i siostry dżinnije z upodobaniem noszą dziecięce szaliczki, damskie sweterki i czapki z daszkiem, ozdabiają się ziemską biżuterią i słuchają muzyki z iPodów”.

Magdalena Kucenty, „Dziesięciu ludzi, dziesięć kolorów”.

Wszystkie barwy cierpienia.

Wszedł w nią powoli, delikatnie. Z czasem jednak przyspieszył, drapieżnie przygryzając jej kark, pieszcząc dłonią krągłe, ciemne sutki. Odkąd zaczął powracać z zaświatów, rznął ją dokładnie tak, jak lubiła, dawał tyle przyjemności, ile było tylko możliwe, samemu nie otrzymując nic w zamian.

Nie mogąc nic otrzymać.

– Cholera! – krzyknęła, uderzając czołem o mokre kafelki. – Niech to szlag – powiedziała ciszej, osuwając się na dno kabiny.

Orgazm jeszcze chwilę wstrząsał jej ciałem. Wyciskał łzy z oczu. I napełniał żołądek obrzydzeniem do samej siebie.

Czuła się, jakby właśnie zdradziła Seledyna.

Tymczasem on, nieodmiennie uśmiechnięty i pogodny, roztopiał się w strumieniu gorącej wody jak rzeźba z wosku.

Katarzyna Rogińska, „A kiedy przyjdzie do ciebie Pan”.

Dar i ofiara

Giovana powinna wyjść za jakiegoś czarownika. Nie znaczy to, że on zaraz ją uwolni spod władzy boga, ale przynajmniej nie będzie zaskoczony, gdy żona mu osłupieje albo zacznie latać. Taka żona może być nawet kimś pożytecznym, pasującym do czarowniczego domostwa, a zresztą – tu stara uśmiechała się tajemniczo – wcale nie musieliby mieszkać razem... Starzy radzili i dyskutowali, a tymczasem Giovana najchętniej uciekała na nadmorskie wydmy i godzinami siedziała w wyrastającej

z piasku ostrej trawie, patrząc na owady pokonujące mozolnie osypującą się stromiznę. Zawsze po jakimś czasie przychodziły wizje. Skończył się cykl odwiedzin w obcych światach czarnych skał i czerwonych żwirowisk, lodowych mgieł płonących w niezwykłych barwach gigantycznych zorzy, nieboskłonów o kilku słońcach, brodenia w jeziorach płynnej magmy. Teraz widziała ciasne wnętrza, kręte korytarze tonące w czerwonym półmroku, jaskinie o ścianach porośniętych żywym, falującym mchem, czerwone podziemne rzeki pulsujące nagłymi przyborami ciepłej, gęstej cieczy. Zrozumiała wreszcie, że wędruje we wnętrzu własnego ciała. Bóg wypełniał obietnicę. Z drzeniem serca czekała na chwilę, kiedy będzie musiała zapłacić.

Ewa Białołęcka, „Papierowe wyspy”.

Historia superbohatera, jedyna i prawdziwa.

Podczas edukacji szkolnej zapoznał się ze znaczeniem słowa „stereotyp”, które zdawało się dotyczyć głównie gejów i czarnych. W domu nie mógł nie przesiąknąć podstawową wiedzą o statystyce, a w trudnym wieku lat piętnastu zdał sobie sprawę z całej tragicznej głębi pojęcia „przeciętność”.

Był przeciętny.

A nawet PRZECIĘTNY. Gdyby ustalano skalę średnio statystycznej przeciętności, John Smith syn Johna Smitha mógłby posłużyć za jej etalon.

Ani ładny, ani brzydki, średniego wzrostu i średniej budowy, ważący o kilka funtów więcej niż należało, jak każdy statystyczny amerykański nastolatek. Zbierał przeciętne oceny w szkole, a potem w przeciętnym koledżu; chodził z dość miłą, dość ładną, dość inteligentną dziewczyną i był na najlepszej drodze do zamieszkania w przeciętnie wygodnym szeregowcu w wystarczająco dobrej dzielnicy, wyhodowania dwójki dzieci i kupienia golden retrievera.

Nic nie zapowiadało tego, że pewnego dnia John Smith junior schowa dyplom do szuflady, rzuci stanowisko młodszego asystenta zastępcy kierownika działu, kupi używany jachcik i oznajmi, że wybiera się w rejs dookoła świata

Marta Magdalena Lasik, „Nieprzezroczyści”

Sposób na życie

Zbiegła schodami. Nie odwracając się, przywitała i pożegnała Col'Arnac, który oczami kamer pilnował porządku w ich klatce schodowej. Ledwie usłyszała jego odpowiedź, bo już była za drzwiami. Szarość poranka zaatakowała ją z pełną mocą. Wcisnęła się wilgotnym chłodem pod płaszcz, oślepiła pomarańczowym światłem wylewającym się ze sklepowych witryn, wgrzyzła w myśli poszarpanymi rozmowami innych ludzi. O dzieciach, o rodzinie, o tym, że jesień w tym roku przyszła za szybko i to zły omen. Przy skwerze Bol'Hawryło jak co dzień mówił do każdego, kto gotów był słuchać, że należy pokochać własny strach, żyć i umrzeć, patrząc mu w oczy, a z drugiej strony placu, z głośników płynęły wiadomości: kolejny transport na Kors nadal nieodwołany, czy wojna zbliża się do końca i co to znaczy?, col prognozują ulewy. Żannie przeszło przez myśl, że ona wcale nie musi być już w drugim

życiu, aby dokonywać takich prognoz, wystarczyło jej spojrzeć w górę. Chmury we wszystkich odcieniach szarości kotłowały się pomiędzy ciemnymi ścianami budynków. Im wyżej, tym bardziej pożerały pomarańczowe okręgi okien i nieważne, jak bardzo Żanna wyteęzała wzrok, nie była w stanie dostrzec niebieskich świateł na dachach.

Uderzenie odwróciło jej uwagę od nieba. Zachwiała się, ktoś ją złapał mocno za ramię. Nie zdążyła się nawet szarpnąć, gdy rozbawiony głos rozległ się tuż przy jej uchu.

– Masz. – Młoda dziewczyna wcisnęła jej w dłoń ulotkę. – Przepraszam, gapa ze mnie – dodała głośniej i odbiegła. „Nie tylko praca fizyczna dla biologicznych!” – widniało na samej górze; gorzej z tą ulotką trafić nie mogli.

Aleksandra Janusz, „Mrówki w Żółtych tarasach”

Wiedźminka i eliksiry.

Na jej widok wartownik niespiesznie podszedł do bramy.

– A pani do kogo?

– Ja ze zleceniem. – Jagoda rozchyliła worek. – Sprawa załatwiona, przyszłam po zapłatę.

Strażnik zrobił wielkie oczy.

– Przecież pan Janicki gada właśnie ze złomiarzem, co wykonał zlecenie.

Jagoda uniosła się w strzemionach. Z oddali dostrzegła szczurowatego gościa na sfatygowanym elektrycznym skuterze rozmawiającego z wysokim, ubranym na biało (widać było, że sam nie dotyka się do pracy w polu) właścicielem rancza.

– Morty. Ty mały chujku – mruknęła. – Proszę pana, on wszystkim pokazuje ten sam złom. Ja mam gremlina i wasze awokado – przechyliła się na koniu i pokazała zawartość drugiego worka.

– Ja jebię, co za ludzie – jęknął strażnik. – E! Żenia! Leć po pana.

Niedługo potem Morty został uprzejmie, ale stanowczo wyprowadzony za bramę razem z jego skuterem, workiem z dyżurnym dronem oraz urażonym ego. Zaciskał usta, świdrując Jagodę złym spojrzeniem.

– A weź se tę baterię, smacznego – zawarczał na jej widok. – Niedługo to ja się będę śmiał. Zaproсили mnie Avengersi, rozumiesz?! Avengersi. Na wjazd do Złorasów. I sobie nie myśl, że cię zaszczycą. Wszyscy dobrze wiedzą, z kim ty się zadajesz na bazarze, co kupujesz. Może kodeinki, może mety? Wiedźmińskie eliksiry, stara kurwo.

Jagoda siedziała w siodle z wystudiowaną wzgardą, nie zaszczycając mężczyzny nawet spojrzeniem.

Daria Zarubina, „Cisza pod podłogą”

Kosmos wewnętrzny.

- Moja noga więcej nie postanie w tym domu! – krzyknęła mama gdzieś w okolicy altany.
- To podpisz, że zrzekasz się swojej części! Wszystkim ulży! – prowokowała Irina Wiktorowna ze złością.
- Co wy wyprawiacie, baby, chcecie rodzonych braci skłócić! – wtrąciła się babcia, ale nikt jej nie słuchał.
- Oczywiście, lepiej będzie sprzedać wszystko od razu. I to drożej, z dużą działką...
- Nie twoja sprawa, Nadźka! Od wczoraj jesteście w rodzinie...
- Nie dziel cudzego dobytku!

Trzeszcząc niczym brzoźowe drwa w ognisku, zawinął się i zwisł jak psie ucho kawałek tapety u sufitu, z westchnieniem zapadły się podłogowe klepki, a przez czarną szczelinę zajrzała cisza piwnicy.

Tania przycisnęła czoło do parapetu i załkała. Żał jej było małego domowika, Laryski, która sama poszła go pochować, mamy, taty, babci, wujka Jury i siebie samej, gdyż od trzech dni nie przytulała się do ojca.

Deska parapetu wydzielala nikły zapach farby. To pewnie tata próbował zamalować rysę. Złożone przy piecu drwa roztaczały aromat żywicznej świeżości i osinowej goryczki. Ściana pod parapetem, oklejona zieloną tapetą, była ciepła i szorstka. Tania zwinęła się w kłębek, przyciskając do niej plecy...

– Stój, Tania! Nawet nie próbuj! – krzyknęła z progu Larysa.

Lecz Tania posłała kuzynce uśmiech, nie odrywając dłoni od tapety. Wszystko słyszała: wystraszone bicie serca Laryski, kłótnię za ścianą, przerażone krzyki piskląt nad oknem, kuszący szept ciemności unoszącej się z dołu z ziemniakami i cichy szept domu, rytmiczny stukot jego serca, wspólnego już z sercem Tani.

Przycisnęła się całą sobą do ściany i poczuła, jak staje się lekka, niemal nieważka, jak roztapia się w ogromnej filiżance domu i zmienia w dźwięk jego równego, czystego oddechu.

- Tania! – płaczliwie krzyknęła Larysa. – Tania!
- Co jest? – Do pokoju wpadła mama. – Co się dzieje?
- Tania zniknęła – wykrztusiła przez łzy Laryska.